Nr. 39. Warszawa, dnia 26 (14) Września 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

(FILOZOFIJA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA)

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty i prosimy o możliwie wczesne nadsyłanie jej.

POLITYKA.

SZTUKA I POLITYKA.

Często daje się słyszeć zdanie, mające wiele pozorów słuszności, że sztuka powinna być niezależna od polityki i nie odpowiadać za jej czyny. Zdanie to wygłaszają nawet ci, którzy uznawszy je i narzuciwszy innym jako dogmat, gotowi zaraz temi samemi ustami — wykląć sztukę swoich nieprzyjaciół, gdyby ona zajrzała do ich domu. Uwija się tedy między ludźmi jakiś frazes, który rozpatrzeć warto, tem bardziej, że świeżo wypłynął na wierzch z powodu przedstawienia w Paryżu *Lohengruna*. Opierając się na tym pewniku, że sztuka posiada dziedzinę odgraniczoną od polityki i nie ma z nią nic wspólnego, mężowie poważni zawyrokowali, że Wagner może wejść do Paryża, do którego niedawno wchodzili jako pogromcy Moltke z Bismarkiem, a jego operze nie należy ubliżać skandalami. *Lohengrün* — mówili oni — nie przybywa do nas z obozu pruskiego, lecz z „krainy piękna.“ Mimo to znalazła się dość tłumna rzesza przeciwników tego rozumowania, którzy usiłowali nie dopuścić sztuki pruskiej, wykrzykiwali przed gmachem złorzeczenia i wytwarzali na ulicach rozruchy. Mężowie poważni z obu stron Renu byli wielce zgorszeni zachowaniem się „motłochu“ i zbudowani energicznem postępowaniem policyi, „patryoci“ znowu obrzucili ich najobelżywszymi wymysłami. Rozważmy tę sprzeczność.

Ażeby wypróbować wartość jakiejś zasady, należy ją rozprowadzić logicznie we wnioskach. Więc przypuśćmy, że Bismark napisał cudowną komedyę, którą chce przedstawić teatr francuski. Czyby wówczas powiedzieli dzisiejsi obrońcy *Lohengruna?* Prawdopodobnie nie pozwoliliby na to widowisko, a usprawiedliwiali swój zakaz tem, że autor zbyt bolesne budzi uczucia w społeczeństwie, które należy uszanować, zamiast drażnić. Wagner nie wciągnął Francyi w wojenny potrzask, nie rozbił jej, nie zabrał dwu prowincyj i pięciu miliardów, ale w każdym razie był rzetelnym prusakiem, zachwyconym tryumfami dyplomacyi i oręża niemieckiego nad Francyą. Więc też jeżeli Bismark jest dla niej strasznym potworem, Wagner jest co najmniej wstrętnym gościem. Widzi ona wielką różnicę tych dwu ludzi wobec swych pretensyj i uczuć, ale i drugi, chociaż lżej, potrąca o struny bolesne i drażliwe w jej duszy. Na Wagnerze, jak na każdym prusaku, spoczywa pewna cząstka winy klęsk 1870 r., a tego piętna w obecnych stosunkach nie zdoła zetrzeć jego talent. Cokolwiek wart *Lohengrün*, jego twórca jest jednym ze sprawców upokorzenia i krzywd Francyi, jednym z urągających jej ranom. Zwłaszcza zaś ona, której teatry nie są zajazdami i gospodami dla talentów całego świata, lecz przybytkiem dla swojskich, musi być podwójnie drażliwa w przyjmowaniu cudzoziemca. A tym cudzoziemcem jest prusak! Każda głoska tego wyrazu brzmi dla francuza gromem lub oddycha zarazą.

Żaden okres dziejów nie utkał się z nici rozumów, ale przeważnie z pasm namiętności. Jeżeli zaś kiedy, to teraz zawładnęły one wątkiem historyi. W tegoczesnem życiu politycznem rozumy milczą lub odzywają się przyciszonym głosem; krzyczą, wyją i ryczą żądze. Od czasu jak mistrz polityki czynem i słowem sponiewierał wszelkie zasady, wrzucił między graty moralność i pogwałcił prawa, zarażone jego nauką społeczeństwa kierują się i walczą tylko łaknieniami najniższych instynktów. Zdają się one wołać: nie dbamy o prawdę, o szlachetność, etykę, cele idealne, pragniemy tylko zwyciężać w walce o byt, w której skuteczność środka stanowi miarę jego wartości. Skoro zaś takie twierdzenia słyszymy z ust ludzi światłych, uczonych, rozważnych, dlaczegóż wymagamy od tłumu wzorów rozsądku i zacności? Dlaczego pospólstwo paryskie ma zdobyć się na to, na co nie zdobył się Bismark, który w obliczu całego świata wstrząsał się przy wspomnieniu Francyi, a podczas oblężenia jej miast kazał armatom kierować strzały na najwspanialsze ich gmachy?

Z powyższego wywodu nie wynika bynajmniej, ażebyśmy w awanturach ulicznych, z jakiemi boryka się Paryż z powodu *Lohengruna*, widzieli objawy wzniosłe i podziwu godne. Przeciwnie, uważamy je za wybuchy namiętności nizkiego pochodzenia. Chcieliśmy tylko wykazać, że one pozostają w najzupełniejszej zgodzie z obecnym nastrojem Europy, że są naturalne i że frazes o niezależności sztuki od polityki jest bańką mydlaną, którą jedni drugim puszczają, sami w nią nie wierząc. Dopóki bowiem taka zależność istnieje faktycznie, nie rozetnie jej żaden papierowy nożyk. Od ludzi wymagać można tylko tego, do czego są zdolni. A oni teraz zdolni są jedynie do łączenia z polityką wszystkiego — płótna, cygar, fizyki, opery itd. Daremnie tłomaczylibyśmy matce, że zabójca jej dziecka namalował prześliczny obraz; daremnie przekonywalibyśmy zlicytowanego dłużnika, że jego wierzyciel napisał piękny poemat; daremnie również dowodzilibyśmy francuzom, że prusak stworzył kunsztowną operę. Zrzekną się oni przyjemności artystycznych, aby tylko nie doznać przykrości politycznych. O ile więc minister Constans, stłumiwszy rozruchy, wykazał siłę policyi, o tyle wielbiciele *Lohengruna*, wprowadzając go na scenę paryską, nie wykazali roztropności. Korzyść nie opłaciła strat. Przy obecnem naprężeniu stosunków międzynarodowych, przy nadzwyczajnem podniecaniu umysłów, w gorącej atmosferze szowinizmu, nie należało drażnić ludności w uczuciach psychologicznie zrozumiałych i koniecznych a drażnić bez ważnego celu. Bo czy Paryż pozna dziś lub za lat parę *Lohen-*

grüna, czy go nawet nie pozna wcale — to znowu nie jest kwestyą tak doniosłą, ażeby dla niej warto było burzyć tłumy, tysiące ludzi pędzić do kozy, a nadewszystko wskrzeszać okropne wspómnienia klęsk i cierpień. Niestety, sztuka pozostając w związku z polityką, trzeba to sobie raz powiedzieć i ciągle przypominać. Wszystkie jej blaski gasną, wszystkie wdzięki tracą swój urok, jeżeli ona wystąpi ze znamieniem pochodzenia, w którem ogół dopatrzy krwawą plamę. Wolelibyśmy, ażeby tak nie było, ale tak jest, a dopóki ludzie widzą słońce okrągłem, daremnie przekonywać ich będziemy, że ono jest kwadratowe.

Z AUSTRYI.

Uroczystości czeskie. — Rozszczepienie w obozie młodoczeskim. — Rola posła Vaszatego. — Hrabia-awanturnik i jego fundacya. — Jan Orth żyje!

Naród czeski przedstawia się obecnie jako zmobilizowana armia polityczna. Wszystko wyruszyło w pole: sędziwi mężowie stanu, zgromadzeni niegdyś około sztandaru staroczeskiego, świeżo zaciężni posłowie młodoczescy i niezliczona rzesza niedojrzałej młodzieży, urządzająca owe bezustanne demonstracye, z których składa się dzisiejsza polityka czeska. Zapowiedziany przez nas w ostatnim liście obchód setnej rocznicy koronacyi cesarza Leopolda II odbył się przy współudziale całej tej armii, lecz bez wybryków jaskrawych. Poprzestano na odśpiewaniu pieśni narodowych, zwłaszcza „Hej slovane!“ z nowym tekstem, skierowanym przeciw trójprzymierzu. Hymnem tym powitano też namiestnika hr. Thuna, kiedy przybył na plac wystawy. Grono wyrostków udało się z niej przed „Dom niemiecki“ i tam dogodziło sobie, wołając „pereat.“ Punktem szczytowym całej „uroczystości“ była chwila, w której przed placem wystawy pojawił się długi szereg powozów z posłami młodoczeskimi.

Wracali oni właśnie z posiedzenia, na którem załatwili sprawę o wiele doniośliejszą, aniżeli owa manifestacya. Było to zgromadzenie młodoczeskich mężów zaufania, któremu poruczono rozstrzygnięcie sporu posłów Vaszatego i Kramarza. W sam czas zwołano zgromadzenie, które na razie zapobiegło skutkom groźnego procesu rozkładowego w obozie młodoczeskim. Główym pierwiastkiem rozstroju jest tu dr. Vaszaty. Dawniejsza jego opozycya przeciw staroczechom była bardziej osobistej, aniżeli przedmiotowej natury. Miał on żal do Riegera, że nie udzielił mu wpływowego stanowiska w przedstawicielstwie miasta Pragi. Po zwycięztwie młodoczechów Vaszaty spodziewał się zadowolenia własnej ambicyi. Lecz potentaci staroczescy ustąpili, a Vaszaty pozostał, czem był — ambitnym posłem. Widząc, że nadzieje go zawiodły, bezzwłocznie stanął do walki z dotychczasowymi towarzyszami broni. Już podczas rozpraw nad listą nowych kandydatów do Rady państwa obraził najbliższych przyjaciół, w parlamencie uderzył na nich z bezwzględnością, a zaraz po ukończeniu sesyi wygłosił w Pradze na wyspie św. Zofii starczystą przemowę, skierowaną przeciwko całemu klubowi czeskiemu, zwłaszcza zaś przeciw posłowi Kramarzowi. Lud dostrzegł wówczas, że posłowie młodoczescy nie godzą się ze sobą nawet w sprawach zasadniczych, co najgorsze wywołało wrażenie. Równocześnie posłowie młodoczescy, Edward Gregr, Herold, Lang i Kramarz, w sprawozdaniach swych popełnili mnóstwo błędów politycznych. Czując, że podobne rozluźnienie wkrótce podkopałoby pozycyę ich na korzyść jeszcze radykalniejszego stronnictwa, wysunęli z całym naciskiem hasło jedności i poruczyli 54 mężom zaufania załatwienie kwestyj spornych. Po czterogodzinnych obradach udało się istotnie pogodzić Vaszatego z Kramarzem. Obaj podpisali oświadczenia, w których odwołują wszystko, coby spowodować mogło niesnaski w szeregach młodoczeskich. Czy jednak zgoda ta będzie trwała, wielce jest wątpliwe wobec charakteru Vaszatego. Klub czeski dawno powinien był pozbyć się tego ambitnego i próżnego posła, który działa rozkładowo. Nie uczyniono tego dotychczas z obawy, aby nie rozbić stronnictwa; wyparcie się bowiem Vaszatego mogłoby go otoczyć nimbem męczennika w oczach tłumu. Ma on zresztą popleczników, którzy dziś już występują z żądaniem groźnem dla czechów. Chcą oni zmusić klub do zainterpelowania prezesa ministrów w sprawie czeskiego prawa państwowego, a na wypadek odpowiedzi nieprzychylnej — odmówić uczestnictwa w parlamencie.

Vaszaty nie jest tam jedynym awanturnikiem politycznym gwałtownego temperamentu. Typ ten powtarza się z lekkiemi odmianami. Podobnym był zmarły niedawno temu hr. Łazańsky, któremu głównie chodziło o sprawianie jaknajwiększej wrzawy. Dopiero w ostatnich latach znalazł się wśród młodoczechów. Jako młodzieniec czuł on pociąg do sceny i poświęcił się teatrowi niemieckiemu, na którego deskach występował jako Leopold Neuhof ze stałem niepowodzeniem. Podczas gdy inni potomkowie czeskiej szlachty feodalnej, hr. Hahn lub hr. Palffy, namiętność swą okazywali w ten sposób, że cały majątek poświęcali na utrzymanie teatrów, Łazańsky chciał koniecznie znaleźć uznanie u niemców dla własnego talentu aktorskiego. Przepadłszy na kilku małych scenach, odziedziczył właśnie dobra Chiesz, Drabeny, Libin, Lubieniec i Struchacz. Mszcząc się na publiczności niemieckiej, wybudował w dobrach swych własny teatr, zaangażował aktorów niemieckich, grających gorzej jeszcze od niego i zmuszał oficyalistów do oklaskiwania swych utworów. Dopiero kiedy ruch młodoczeski porwał oficyalistów i chłopów w dobrach Łazańskiego, kiedy i pan hrabia uczuł jego nacisk, wyrzekł się swych słabostek niemieckich i nagle obiema nogami wskoczył do obozu młodoczeskiego. Od tej chwili wielbiciel Schillera i Lessinga wypowiedział wojnę plemieniu germańskiemu. Przybywszy do Wiednia jako poseł, walczył z niem w parlamencie w sposób arcynieparlamentarny, a w restauracyach z kelnerami, tak, że niebawem zyskał sławę jako awanturnik. Umierając, nie odstąpił od swego programu młodoczeskiego, a wielką swą kamienicę przy Grabenie zapisał na „Dom czeski.“ Przyzwyczajeni do znacznej ilości i wpływu mieszkańców czeskich, wiedeńczycy nie byliby wcale zgorszeni założeniem tego „domu,“ gdyby fundacya hr. Łazańskiego nie miała cechy trwałej manifestacyi ulicznej. Posiada ona zresztą pewną stronę humorystyczną. Hr. Łazańsky zapisał dom swój właściwie „ukochanej córce Helence“ (umarł w stanie kawalerskim). Dopiero po śmierci tej córki dom przejdzie na własność narodową. Zważywszy, że dziecko to liczy dopiero kilka lat, niemcy spodziewają się, że przed urzeczywistnieniem fundacyi upłynie jeszcze lat kilkadziesiąt i dziś już podsuwają magistratowi myśl, ażeby kamienicę zburzyć ze względów komunikacyjnych.

W tych dniach odświeżyła się pamięć innego awanturnika austryackiego, lecz awanturnika w stylu szlachetnym i wielkim. Jest nim Jan Orth, niegdyś arcyksiążę Jan. Przed rokiem rozeszła się była wiadomość, że Jan Orth, kapitan okrętu

---

14)

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

Nastała zima ostra, dżdżysta, bez śniegu; nastała noc mglista, ciemna, wieczysta, bez świeżego podmuchu przez cały długi tydzień. Na ulicach palono gaz i we dnie, a mimo to gęsta mgła sprawiała, iż przechodnie, nic nie widząc, trącali się wzajemnie. Wszystkie dźwięki: dzwony kościelne, dzwoneczki przy uprzęży, głosy ludzkie, tętna kopyt — wszystko to składało się na brzmienie ostre, urywane, tłumione przez warstwy zgęszczonego powietrza.

Bawię wciąż jeszcze na dole w „Vaterlandzie.“

Przywiązuję się coraz bardziej do tego zajazdu, do tego „hotelu dla podróżnych,“ gdzie mimo mojej nędzy znalazłem przytułek. Moje zasoby pieniężne oddawna były już wyczerpane, a jednak z pokoju korzystałem tak, jak gdybym miał do tego prawo, przywilej. Gospodyni nic mi nie mówi, martwi mnie to jednak, że zapłacić jej nie mogę. Tak mija trzy tygodnie.

Od paru dni zabrałem się znowu do pisania, lecz nic porządnego skleić nie jestem w stanie; nie idzie mi, pomimo że pracuję pilnie, a wieczorem szczęścia próbuję; szczęście mnie opuściło — starania moje zawsze są płonne.

Przesiaduję na drugiem piętrze, w najlepszym gościnnym pokoju, tam też czynię próby. Od pierwszego wieczora — miałem podówczas pieniądze — za wszystko płaciłem. Od pierwszego wieczora nikt mi tam na górze nie przeszkadzał.

Przez cały czas żyję nadzieją, że wreszcie skleję przecież jakiś artykuł o tem lub o owem i że za otrzymane pieniądze opłacę pokój i inne długi; dlatego to pracuję z takim wysiłkiem. Zwłaszcza zajmuje mnie jedna praca i wiele się też po niej spodziewam. Jest to alegorya, opisująca pożar w księgarni, alegorya z głębokim podkładem myśli; postanowiłem dołożyć do niej wiele starań i uiścić tym sposobem dług zaciągnięty u „Komandora.“ Niechajże się przekona, że tym razem wspomógł człowieka z talentem prawdziwym... Nie wątpię, że go o tem przekonam, należy tylko poczekać, aż natchnienie na mnie spłynie. A dlaczegóżby ono spłynąć na mnie nie miało? Dlaczegóżby nie miało spłynąć w najbliższej już przyszłości?.. Nic mi nie dolega, gospodyni moja daje mi codziennie coś do jedzenia: parę kromek chleba z masłem rano i wieczorem. Dawny stan zdenerwowania prawie ustąpił. Przy pisaniu szmatkami rąk już nie owijam, mogę patrzeć z drugiego piętra na ulicę, nie dostając przytem zawrotu głowy. Stan mego zdrowia pod każdym względem się poprawił; dziwi mnie po prostu, że alegoryi mojej skończyć jakoś nie umiem. Nie pojmuję przyczyny.

Pewnego dnia mam wreszcie sposobność przekonania się, jak daleko upadłem na siłach i jak leniwie, bezowocnie mózg mój działa. Gospodyni przychodzi do mnie z rachunkiem, prosząc, abym go przejrzał: musi tu gdzieś być omyłka, suma bowiem nie zgadza się z jej książką; sama zaś błędu znaleźć nie może.

Siadam i zaczynam sprawdzać: gospodyni siada naprzeciw mnie i czeka. Dodaję wszystkie pozycye z góry na dół, znajduję, że suma jest właściwa, zliczam po raz drugi z dołu na górę i ten sam otrzymuję rezultat. Spoglądam na kobietę i w tejże chwili nagle spostrzegam, że jest w ciąży; fakt ten nie uchodzi mojej uwadze, mimo to, że bynajmniej badawczo jej się nie przyglądam.

— W porządku! — mówię.

— Nie, niech się pan dobrze przyjrzy

„Santa Margareta“ utonął wraz z załogą i młodą małżonką, córką mieszczanina wiedeńskiego. Teraz jednak pojawił się w Wiedniu były majtek „Margaroty,“ który twierdzi, że Jan Orth nie zginął, lecz żyje. U owego przylądka, gdzie nastąpić miało rozbicie, kapitan zmienił jedynie część załogi, między innymi wydalił też owego majtka. Następnie przekształcił zewnętrznie statek do niepoznania i puścił się drogą wprost przeciwną, aniżeli przypuszczano. Twierdzą, że Jan Orth podążył do Chili, aby wziąć udział w walce stronnictw, stając po stronie powstańców, a zatem dzisiejszych zwycięzców. W Wiedniu uważają za rzecz wielce prawdopodobną, że w duszy dzielnego arcyksięcia powstał zamiar podobny do planu cesarza Maksymiliana meksykańskiego. Gdyby przypuszczenie to było prawdziwe, prawda wkrótce by się odsłoniła, gdyż dziś, po zwycięztwie powstańców w Chili, przywódca ich nie ma powodu do ukrywania swego imienia. Są poszlaki, że krewni Ortha wiedzą, iż on nie zginął, gdyż nie przyjęli premii asekuracyjnej, przypadającej za okręt „Santa Margareta,“ a wynoszącej 600,000 marek.

S-z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nawet niezależne gazety niemieckie czynią uwagę, że cesarz Wilhelm przemawia za często i zbyt nieostrożnie. Po każdym jego występie oratorskim, kończonym zwykle uderzeniem w szablę, wybucha gwar, sypią się najrozmaitsze odmiany sprawozdań, wreszcie nadchodzą sprostowania urzędowe, którym... nikt nie wierzy. Tak było również z mową w Erfurcie. Jedna z najprawomyślniejszych gazet niemieckich w tekście słów cesarskich pomieściła wyrazy, odnoszące się do Napoleona I: „parweniusz korsykański.“ Naturalnie prasa francuska podniosła gwałt. *Reichsanzeiger* stosunkowo dość późno wydrukował „wiarogodne“ brzmienie mowy, w którym „parweniusza“ zastąpiono „zdobywcą.“ Poprawka ta nie uspokoiła francuzów, którzy uczuli się mocno i słusznie obrażeni. Bo jeżeli Niemcy corocznie obchodzą i zaledwie przed paru tygodniami święcili najbardziej upokarzającą pamiątkę bitwy po Sedanem, gdzie nie spełnił się dla nich żaden fakt narodowy, tylko wzięta została do niewoli armia nieprzyjacielska; jeżeli zaraz potem przez usta swego monarchy rzucają wzgardę na największego wodza francuskiego, który im urządził kilka Sedanów, to trudno wobec tych podrażnień zachować krew zimną.

W porę też i jak gdyby dla zatarcia złego wrażenia zniesiono przymus paszportowy dla francuzów, przybywających do Alzacyi i Lotaryngii, zachowując go nadal tylko dla oficerów i popisowych niemieckich, uchylających się od powinności wojskowej przez emigracyę. Uprzytomniwszy sobie nienawyknienie francuzów do ograniczeń tego rodzaju, ich wielostronne stosunki z ościennemi prowincyami Niemiec, ich ruchliwość handlową, wreszcie trudności, jakie pokonywać musieli z awizowaniem paszportów w ambasadzie niemieckiej, zrozumiemy ich wielkie zadowolenie z tej zmiany. Ukoiła też ona rozdrażnienie tak dalece, że aż w Paryżu nazwano ją „krokiem pojednawczym.“ „Pojednanie“ francusko-niemieckie — to wyraz, który dotychczas przynajmniej nad Sekwaną się nie pojawił.

Nie ulega już dziś wątpliwości, że pierwszym owocem tych i tym podobnych uścisków pokojowych będzie podwyższenie budżetu wojskowego. Niemcy już o tem przebąkują, Austrya mówi wyraźnie. Podczas manewrów okazały się braki, które trzeba zapełnić, a przytem posunąć się o kilka kroków naprzód dla prześcignięcia sąsiadów, którzy znowu ze swej strony postarają się współzawodnika dogonić.

Niemcy z widoczną zabiegliwością starają się zjednać papieża. Może im chodzi o odciągnięcie go od Francyi, może o zyskanie jego zgody w sprawie arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego, może o oddziałanie ze strony Watykanu na centrum, wobec zamierzonego żądania nowych wydatków na armię, dość że kanclerz Caprivi musiał mieć jakiś ważniejszy interes, niż chęć okazania grzeczności, odwiedzając nuncyusza papieskiego w Monachium.

Jakkolwiek kwestya dardanelska przycichła, a nawet jednodniowy pobyt flotylli angielskiej na Mitylenie schodzi już z pierwszego planu, w Konstantynopolu wre walka intryg dalej. Według ostatnich doniesień sułtan miał jakoby przekonać się, że go okłamano i że niesłusznie strącił Kiamila paszę. Ma on zresztą inny, poważniejszy kłopot. Rozruchy w Jemenie nie ustały, a powstańcy zamierzają ogłosić własnego kalifa. W Arabii wrzenie, w Albanii wrzenie, na Krecie wrzenie, w pałacu wrzenie — doprawdy padyszach siedzi w płonącym domu.

W Chinach napaści na chrześcian trwają ciągle, świadcząc o zupełnej bezwładności rządu centralnego. Wielkorządcy postanowili nie uledz pogróżkom mocarstw europejskich i podburzają ludność. Podobno państwa najbardziej interesowane porozumiewają się drogą dyplomatyczną co do sposobu wystąpienia z naciskiem zbiorowym.

Szczęśliwa gwiazda, która kongresistom w Chili zapewniła zwycięztwo, uwolniła ich szybko od głównego wroga. Balmaceda, który nie uciekł za granicę, jak pierwotnie mniemano, lecz ukrywał się w Santjago, widząc niemożliwość ratunku, zastrzelił się w domu poselstwa argentyńskiego.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KOOPERACYA W ANGLII

W ostatnim numerze francuskiego *Przeglądu ekonomicznego* ukazał się artykuł Schulze-Gävernitza o rozwoju kooperacyi w Anglii. Zwrócił on naszą uwagę z kilku względów. Przedewszystkiem samo nazwisko autora kazało nam nieco baczniej przejrzeć wspomnianą pracę. W Niemczech utworzyła się szczególna szkoła, szukająca w Anglii wzorów porządku społecznego i odkrywająca tu wciąż rzeczy, o których już wróble świergoczą w sposób nader krytyczny na dachach domów w przedmieściach Berlina lub Hamburga, a które ona, tj. owa szkoła, zaleca właśnie do naśladowania ludności przedmiejskiej. Brentano jest dalaj-lamą tego kierunku i z całą gorliwością szczerzy bezustannie zęby przeciw dawnym klasykom ekonomii politycznej w rodzaju Ricarda oraz kierunkom, które w dalszym ciągu po przez czartyzm wyłoniły się z założeń tego wybitnego myśliciela. Nasz dalaj-lama spłodził w Niemczech liczne potomstwo duchowe, zwłaszcza wśród młodych latorośli mieszczańskich z gorącem a humanitarnem sercem, niemogących znieść widoku, żeby różne chóry społeczne nie składały się na jedno pienie harmonijne. Wśród tego młodego pokolenia Schulze-Gävernitz zajmuje miejsce nader poważane i wpływowe. Jest to przyszły kierownik szkoły. W roku zeszłym wydał dwutomowe dzieło *Zum socialen Frieden*, będące nielitościwem fałszowaniem stosunków angielskich w stylu, przyjętym przez jego ojca

---

każdej cyfrze. Rachunek tyle nie wynosi, to pewna!

Sprawdzam więc każdą pozycyę zosobna: 2 chleby po 25, szkło do lampy — 18, mydło — 20, masło — 32, niewiele trzeba sprytu, aby przejrzeć taki szereg cyfr, taki mały, prosty rachunek kramarski. Szukam gorliwie pomyłki, o której mi ta kobieta prawi, lecz nic nie znajduję. Zaledwie chwilkę pobawiłem się temi liczbami, gdy nagle wszystko w głowie zaczyna mi tańczyć, nie mogę odróżnić przychodu od rozchodu, wszystko mi się miesza. Wreszcie zatrzymuję się przed pozycyą: „$3^5/_{16}$ sera po 16.“ Mózg zupełnie usług mi odmawia, jak głupi wytrzeszczam oczy na ten ser i ani rusz dalej.

— Bo też to, do dyabła, pomieszali jedno z drugiem! — wołam zrozpaczony. Tu, dalibóg, zanotowano pięć szesnastych sera! Ha, ha! Czy to kto słyszał! Niechże pani patrzy!

— Tak — odrzekła kobieta — tak piszą zwykle! To ser roślinny! Tak, to w porządku! $^5/_{16}$ znaczy 5 łutów...

— Aha! rozumiem.

W rzeczywistości nic nie pojmuję.

Staram się dojść do ładu z tym małym rachunkiem, który przed paru miesiącami bezwątpienia w mig byłbym zliczył. Pocę się, ze wszystkich sił zastanawiam się nad temi zagadkowemi cyframi, mrugam oczami, zgłębiam niby rzecz do gruntu... Lecz po chwili muszę dać temu pokój. Te pięć łutów sera zmysły mi po prostu miesza; zdaje mi się, jakoby mi się coś w czole zapadło.

Chcąc ją jednakże utrzymać w mniemaniu, iż zajęty jestem rachunkiem; poruszam ustami, od czasu do czasu głośno cyfrę jakąś wymieniam, licząc niby coraz dalej aż do ostatniej pozycyi. Kobieta siedzi i czeka.

— Otóż jeszcze raz przejrzałem rachunek, doprawdy żadnej nie widzę pomyłki!

— Nie? — zapyta — doprawdy nie?

Lecz widzę dobrze, że mi nie ufa. I nagle uderza mnie coś w jej mowie, coś, niby barwa lekceważenia, jakiś obojętny ton, którego dotychczas nie dostrzegłem. Mówi, że nie miałem pewnie do czynienia z szesnastemi częściami, że będzie musiała zwrócić się do takiego, co się na tem zna... Wszystko to wypowiada w sposób zupełnie nieobrażający, nie ma oczywiście zamiaru zawstydzić mnie, mówi z namysłem, poważnie. Doszedłszy do drzwi, na pożegnanie, nie odwracając się, powiada:

— Przepraszam za subjekcyę!

I odchodzi.

Po chwili drzwi znowu się otwierają, zjawia się w nich powtórnie moja gospodyni; wróciła pewnie z sieni.

— Póki pamiętam — niech mi pan tego za złe nie bierze... ale zdaje mi się, że należy mi się jeszcze coś od pana... Jeżeli się nie mylę, to wczoraj minęło trzy tygodnie, jak pan u nas stanął... Tak jest, trzy tygodnie! Trudno końce powiązać... rodzina liczna, na kredyt nikomu mieszkania dawać nie mogę... niestety...

— Pracuję tutaj nad artykułem — rzekłem — o którym dawniej już pani mówiłem. Skoro go tylko ukończę, otrzyma pani pieniądze. Może pani być zupełnie spokojna!..

— Tak, ale kiedy ten artykuł nigdy się nie skończy!

— Tak pani myśli? A jeżeli duch spłynie na mnie jutro, a może jeszcze dzisiaj w nocy? Nie jest to bynajmniej niemożebne, ażeby duch spłynął na mnie w nocy, a w takim razie w kwadrans artykuł jest gotów. Bo widzi pani inaczej ja pracuję, a inaczej inni; ja nie mogę siąść i pisać na zamówienie: czekam chwili. A nikt nie wie dnia i godziny, kiedy duch na niego spłynie: trzeba czekać!

Gospodyni odchodzi. Ale ufność jej do mnie niemało pewnie przez tę rozmowę została zachwiana.

Podnoszę się, z rozpaczy włosy rwę na głowie. Nie, dla mnie już niema ratunku,

duchowego. Ze zdziwieniem nie znaleźliśmy w tej książce ani słówka o ruchu kooperacyjnym, tak silnie rozwiniętym w Anglii, a który przewybornie pasował do kramiku gävernitzowskiego. Młody pogromca czerstwości ekonomiczno-klasowej uzupełnia dzisiaj tę lukę — tymczasowo w *Revue d'economie politique*, później zaś w jakimś tomie trzecim albo w nadzwyczajnym dodatku do wydanego już dzieła. Powtóre, kwestya kooperacyi angielskiej zajmuje nas od niejakiego czasu. Rozmiary jej i dotychczasowe względne powodzenie kazały nam już z góry przypuszczać, że różni domorośło-lądowi znachorzy społeczni zwrócą się do wzorów angielskich kooperacyjnych, aby sfałszowane podać jako odtrutkę przeciwko poważniejszym próbom usunięcia niedomagań społecznych. Dzięki łaskawej uprzejmości p. Neale'a, jednego z wybitniejszych kierowników ruchu, znaleźliśmy się w posiadaniu bogatej literatury broszurowej, która pozwoliła nam zajrzeć bliżej w istotę kooperacyi angielskiej. Sądząc, że praca p. Schulze-Gävernitza, dzięki upowszechnieniu *Przeglądu ekonomicznego* znajdzie się w niejednem ręku, pośpieszamy z istotnem przedstawieniem rzeczy. Naturalnie, zatrzymujemy się nad ruchem kooperacyjnym angielskim, jak to zresztą czyni i pisarz niemiecki, jedynie w zakresie warstw „ludowych." Istnieje bowiem w Anglii jeszcze inny prąd kooperacyjny, wśród warstw zamożniejszych pod nazwą różnych *civil services.* W 1889 r. było tego rodzaju związków 5, posiadających obrotu rocznego do 60 mil. rubli. Są to zresztą najczystszej wody stowarzyszenia akcyjne pod maską spożywczych. Liczba członków w porównaniu z rozmiarami obrotu jest bardzo niewielką, np. w najpotężniejszym związku (Civil service supply asfociation) jest ich tylko 9,000, a kupujących w tym składzie (nieczłonków) trzy razy więcej. Stowarzyszenia te walczą ze zwykłymi składami drogą zniżania cen przedmiotów spożywczych. Tymczasem ruch kooperacyjny posiada pod wielu względami charakter odmienny i nosi na sobie jasne ślady pochodzenia klasowo-najemnickiego.

Schulze-Gävernitz między innemi rozpatruje też prąd współdzielczo-wytwórczy angielski. Naliczył on 67 towarzystw w r. 1887; do tej liczby ze swej strony dodamy, że przedstawiały one pokaźną ilość członków, około 18 tysięcy. Postawione kiedyś przez Bucheza jako środek do wyzwolenia pracy z pod wpływów kapitału, towarzystwa współdzielczo-wytwórcze stały się odtąd ukochanym beniaminkiem wszystkich utopistów, którzy marzyli o rozwiązaniu nowoczesnej kwestyi społecznej za pomocą wysiłków prywatnych, za plecami, że tak powiem, życia publicznego. Zrobiły jednak zupełne fiasko, bo nawet ilość współwytwórców stowarzyszonych w Anglii, jakkolwiek na pozór pokaźna, jest w gruncie rzeczy w porównaniu z masami niestowarzyszonemi wielkością znikomą. Gävernitz i wogóle pisarze tego kierunku zwalają winę na nieszczęsną naturę ludzką, która zawsze pokutuje jako odwieczna sprawczyni niecdania się wszelkich utopij. „Człowiek nie dojrzał do towarzystw wytwórczych — powiada ten autor — gdyż wymagają one karności w tak znacznym stopniu, w jakim można ją znaleźć jedynie u osób bardzo rozwiniętych pod względem moralnym." Jakie proste tłomaczenie! W gruncie rzeczy przeciwko towarzystwom współdzielczo-wytwórczym wystąpili przyczyny poważniejsze, przeciwko którym nic a nic poradziłaby najbardziej rozwinięta moralność z najsilniejszym duchem karności. Naprzód powodzenie stowarzyszonych przedsiębierstw, bo taką jest istota towarzystw współdzielczo-wytwórczych, zależy od posiadanego kapitału; na drodze samopomocy mogą się przeto one udać jedynie w tych dziedzinach przemysłu, któremi nie zawładnęła jeszcze nowoczesna technika maszynowa. Lecz aby i w produkcyi techniczno-rzemieślniczej powiodło się kooperacyi współdzielczej, uczestnicy winni dać niesłychane dowody samozaparcia swoich potrzeb, najwyższej oszczędności i odmawiania sobie na każdym kroku. Jedynie w ten sposób gromadzono zawsze kapitał niezbędny do zakupna surowców itd., jak widzimy tego dowody w dziejach kooperacyi francuskiej. Wreszcie po wielu latach wysiłków i zaparcia się przedsiębiorstwo stanęło na mocnych nogach i rozszerza się nawet. Wypada nająć siłę roboczą z zewnątrz, bo swoje niewystarczają. Lecz czyż stowarzyszeni mają tych przybyszów przypuścić do praw wszystkich? Wszak są to ludzie bez przeszłości, dopuszczenie ich byłoby daniem im owoców obcej pracy, przyszliby oni do gotowego bez żadnej zasługi ze swej strony. Takie dowodzenie jest rzeczą zgoła zrozumiałą. Przybysze będą traktowani może nieco lepiej, niż gdzieindziej, lecz w każdym razie, jako zwykli najemnicy. Starzy, spracowani kooperatyści, zdobywszy pewien majątek, chcą odpocząć, przestają pracować i żyją z dywidendy, niekiedy zaś sprzedają swój udział komuś z zewnątrz. Rozpoczyna się już czysty kapitalizm. Dzieje osławionego zakładu w Hebden-bridge wykazują powyżej skreślony proces rozkładowy; rozpatruje go też Schulze-Gävernitz, lecz wszystko spycha na naturę ludzką. Ale Anglia, owa ojczyzna praktyczności życiowej wyłoniła jeszcze wzory lepsze. Grupka majstrów fabrycznych, kontr-maitrów i dozorców kupuje do spółki jakąś fabryczkę zbankrutowaną, doprowadzają ją do dobrego stanu, wysuwając zręcznie hasła kooperacyi współdzielczej i wtedy wycofywają swoje akcye. Szynki dokoła Oldhama bywały nieraz giełdami na małą skalę, gdzie jedni „robotnicy" naciągali i oszukiwali innych. W końcu „współdzielcze fabryki" figurują jako takie, a właściciele są w rzeczy samej „robotnikami," tj. różnymi podoficerami w innych zakładach, w „współdzielczym" zaś pracują zwykle ręce robocze... Wreszcie gdyby nawet jakimś cudem w piersiach kooperatystów wciąż drgały wymagane od nich uczucia, nawet i wtedy towarzystwa wytwórcze spełzłyby na niczem. Tegoczesne przedsiębiorstwo winno posiadać sprężystość niezmienną — kurczyć i rozszerzać na każde zawołanie. Prywatny, pojedynczy przedsiębiorca czyni temu zadość, przyjmując nowe lub wyrzucając dawne siły robocze. Lecz cóż mają począć towarzystwa produkcyjne? Czyż one, złożone ze stowarzyszonych wytwórców, mają właściwych swoich członków wyrzucać na bruk i skazywać na nędzę? Widzimy więc, że z konieczności muszą ulegać zwyrodnieniu lub upadać. Najlepsi ludzie mogą być tylko tem, czem być pozwalają im warunki — niczem innem. Zamiast potępiania kogoś za to, że przeniewierzył się swoim „ideałom," należy przedewszystkiem zapytać, czy owe ideały są możliwe. Nie będziemy potępiać stowarzyszonych wytwórców, że one, ślepe atomy zostały porwane przez wir życia, lecz kamieniem, przeznaczanym dla nich przez różnych Gavernitzów i nie Gavernitzów, rzucimy w co innego — w samo towarzystwo wytwórcze, tę utopijną dźwignię lepszego jutra. Jeżeli zaś w Anglii liczba stowarzyszonych wytwórców doszła do 18 tys., stało się to głównie dzięki olbrzymim związkom spożywczym, które dały im stałe zajęcie niezależne od wahań rynku i tem samem wyjęły z pod praw świata kapitalistycznego. (D. n.).

K. R. Żywicki.

żadnego, żadnego ratunku! Mózg mój zbankrutował! Czyż już jestem takim idyotą, że nawet wartości małego kawałka sera obliczyć nie umiem? A czy rozum straciłem, że takie mogę sobie zadawać pytania? Czyż przy rachunku, mimo wysiłku umysłowego, nie spostrzegłem jasno, jak na dłoni, że gospodyni moja jest w ciąży? Nie miałem sposobności dowiedzieć się o tem poprzednio, nikt mi tego nie mówił, nie doszedłem do tego wniosku drogą namysłu; jeden rzut oka i natychmiast pojąłem, mimo to, że w tejże chwili rozpaczliwie borykałem się z owemi pięcioma szesnastemi. Jakże sobie to objaśnić?

Przystępuję do okna, patrzę w dal; okno wychodzi na Vogumandsgade. Na chodniku bawią się dzieci, ubogo odziane dzieci na biednej ulicy; bawią się, rzucając do siebie pustą butelką, to w tę, to w drugą stronę, przytem głośno krzycza. Tuż koło nich przejeżdża wóz z meblami: to pewnie jakaś rodzina nędzarzy z musu zmienia mieszkanie w środku kwartału. Kombinuję to w oka mgnieniu. Na wozie znajdują się: pościel, meble, łóżka, zniszczone przez robactwo, komoda, krzesła o trzech nogach, na czerwono pomalowane, rogoże, stare żelazne graty i naczynia blaszane. Na samym wierzchu siedzi mała dziewczynka, dziecko jeszcze, bardzo brzydkie stworzenie, ze zmarzniętym nosem; trzyma się oburącz wozu, aby nie spaść; rączki to biedne, małe, sine. Siedzi na stosie obrzydliwych, mokrych materaców, na których prawdopodobnie sypiały maleństwa i z góry spogląda na dzieci, bawiące się butelką.

Widzę to wszystko i bez trudności pojmuję. Jednocześnie z sąsiedniej kuchni dochodzi mnie śpiew służącej mojej gospodyni: znam melodyę, słucham więc, czy czasem fałszywie jej nie nuci. A potem mówię sobie, że idyota chyba na to wszystko się nie zdobędzie, że więc mam, dzięki Bogu, tyle klepek, co i inni ludzie.

Nagle spostrzegam, że dwoje dzieci kłóci się ze sobą. Są to dwaj mali chłopcy: jednego z nich znam — jest to synek mojej gospodyni. Otwieram okno, chcąc słyszeć, co też do siebie mówią. W tejże chwili pod oknem mojem zbiera się gromadka dzieci i ciekawie spogląda w górę. Na co czekają? Czy chcą, abym im coś rzucił? Zeschłe kwiaty, kości, łebki od cygar, cokolwiek, coby gryźć lub czemby bawić się mogły. Patrzą w okno moje spojrzeniem długiem, przeciągłem: twarzyczki posiniały im z zimna. A dwaj mali wrogowie biją się z sobą w dalszym ciągu. Z małych tych ust dziecięcych padają słowa, niby potwory, mokre, wielkie, straszne jakieś wymysły, wykrzyki uliczne, przekleństwa, których się te dzieci może od majtków w porcie nauczyły. A wymianą tą myśli tak są obaj zajęci, że nie słyszą nawet kroków gospodyni, która zeszła, aby dowiedzieć się, co zaszło.

— Tak — objaśnia jej synek — schwycił mnie za gardło, o mało co mnie nie udusił! A zwracając się do małego przestępcy, który na uboczu jeszcze zęby szczerzy, krzyknie wściekły ze złości: Idź do dyabła! Ty bydlę chaldejskie! On śmie chwytać kogo za gardło! Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli ja cię nie...

A matka, która całą swoją osobą prawie wypełnia ulicę, ujmuje dziewięcioletnie dziecko za rękę, uprowadza je, mówiąc:

— Dosyć! Ot dopiero kląć umie! Tak miele językiem, jak gdyby w karczmie się chował! Dalej do domu! Marsz!

— Nie, nie pójdę!

— Pójdziesz! Musisz!

— Nie, nie pójdę!

Stoję przy oknie i widzę, jak matka w coraz większy gniew wpada; wstrętna ta scena irytuje mnie; nie mogę dłużej spokojnie na to patrzeć, wołam więc chłopca do siebie na górę. Wołam dwa razy, byle tylko kres całemu temu zajściu położyć; po raz ostatni wołam bardzo głośno, matka ogląda się i spostrzega mnie w oknie.

Obok tych formalności, bardzo ważnem jest oznaczenie zakresu ich działalności zawodowej. W okręgach, posiadających dostateczną liczbę obrońców przysięgłych, strony procesujące się mogą powierzać sprawy cywilne (sądzone w tychże okręgach) tylko adwokatom przysięgłym; przepis ten nie stosuje się do sądów pokoju. W senacie ustne objaśnienia w sprawach sądzonych przez kasacyę, wnosić wolno jedynie adwokatom przysięgłym. Upoważnienia do prowadzenia spraw w uproszczonym porządku proceduralnym tudzież do zajęcia się wykonaniem postanowień sądowych, wprowadzenia w posiadanie i spełnienia pewnych poleceń sądowych, mogą być wydawane osobom prywatnym, posiadającym prawo do stopnia „adwokata przysięgłego," nie wyłączając nawet tych okręgów, w których liczba obrońców przysięgłych obejmuje normę oznaczoną. Pomimo ustanowienia kompletu adwokatów przysięgłych, strony procesujące się mogą udzielać plenipotencye na prowadzenie swych praw cywilnych rodzicom, małżonkom, dzieciom i osobom, mającym wspólną z mocodawcą sprawę, oraz zawiadującym z upoważnienia, lub w charakterze administratorów, subjektów, kantorzystów itd. majątkami nieruchomymi, albo interesami handlowymi i przemysłowymi stron. Osoby te mogą prowadzić sprawy tylko wynikające z ich czynności administracyjnej w danym majątku lub przedsiębiorstwie. Obrońcy prywatni, którzy posiadają świadectwa sądu, upoważniające ich do stawania w sprawach cudzych, wydane przed dojściem liczby adwokatów w okręgu do oznaczonego w tabeli kompletu, mają *dożywotne* prawo odnawiania tych świadectw. W okręgach posiadających komplet obrończy, wyznaczani są adwokaci przysięgli dla obrony podsądnych nietylko w miejscu stałej siedziby sądu, ale i po za jej obrębem, podczas wyjazdów sądu. Skala honoraryum obrońców zależna jest od umowy z klientami, która powinna być zrobiona na piśmie. W układaniu warunków o prowadzenie sprawy kryminalnej, nie wolno wysokości wynagrodzenia stawiać w zależności od ewentualnego wyroku. Każdy adwokat powinien prowadzić spis powierzonych sobie spraw z wynotowaniem pobranego honoraryum, tudzież ze sprawozdaniem rachunkowem sum, które wpłynęły od klientów na jego ręce. Adwokaci przysięgli są obowiązani do wnoszenia składek pieniężnych, ustanowionych na ogólnem zebraniu na rzecz kancelaryi, rady, biblioteki, kasy pomocy, na koszty obrony z urzędu na zamiejscowych sesyach sądu itd. Czas dla praktycznego przygotowania się do obowiązków adwokata przysięgłego skrócono do lat czterech.

W uzupełnieniu powyższych przepisów ogłoszone będą inne dla „kandydatów do posad sądowych." Prawo dzielić ich ma na etatowych i nadetatowych. Ostatni chcąc zająć placówkę pierwszych, muszą „pilnie pracować": nie mniej niż rok pod kierunkiem członka cywilnego sądu, tyleż w biurze prokuratora i najmniej rok u sędziego śledczego. Nadetatowi egzaminowani będą szczegółowo przez komisye specyalne przy izbach sądowych. Program takiego egzaminu wymaga między innemi gruntownej znajomości prawa cywilnego i karnego, praktyki kasacyjnej, procedury śledczej, ustawy o włościanach i instytucyach włościańskich.

Przepisy te mają na celu przygotowanie zdolnych biuralistów etatowych i zapobieganie odwrotowi ich na pole obrończe. Ponieważ egzamin o zakresie dość szerokim ma być „surowy," więc w przesiewaniu dostaną się do etatu ci tylko, którzy potrafią przecisnąć się przez małe oczka sita formalistycznego. Sztywni i mniej elastyczni, po bezowocnej próbie będą musieli przejść do innych warsztatów pracy, odpowiedniejszej ich naturze. „Etat," ze względu na dość krótki okres terminowania, pomimo znacznych trudności, nie przestanie nęcić poszukiwaczy intratnych stanowisk. Można więc na pewno liczyć, że się wzmocnią szeregi zdolnych i doborowych cywilistów i podniosą niewątpliwie powagę sądownictwa. Najważniejszem jest to, że się losy odrazu rozstrzygać będą po dwuletniej praktyce. Kto zatem nie odpowie wymaganiom, nie będzie nadal wycierał ławek i stołów na marne i stanowczo otrząśnie się z marzeń o „świetnej karyerze."

Wracając do reformy, zaznaczyć musimy, iż porozumiewanie się klientów z adwokatami przysięgłymi za pośrednictwem rad obrończych wpłynie na zmniejszenie się praktyki pokątnego doradztwa. Ustawa wspomina o utworzeniu taksy wynagrodzenia za prowadzenie spraw; byłby to najradykalniejszy środek zabicia w znacznej części wyzysku adwokatów samozwańczych. Trudno jednak pogodzić ten przepis z innym, mówiącym wyraźnie, iż „wysokość wynagrodzenia adwokatów przysięgłych założy od umowy z klientami." Może ustawa ma tutaj na względzie sprawy wyjątkowe. Przypuszczać należy, iż przy wprowadzeniu nowego prawa w życie, punkty powyższe będą zupełnie wyjaśnione, a sprzeczność usunięta.

Zen. Piet.

LIBERUM VETO.

Pożyteczne myśli. — Szkoły zawodowe. — Jak skorzystaliśmy z nowego prawa. — Głos *Wieku*. — Marzenia o piórku i biurku. — Bolesna myśl dla serc ojcowskich. — Okólnik Towarzystwa subjektów handlowych i przemysłowych. — Nieprzejednani. — Bezskuteczność próśb a skuteczność praw. — Konkurs dramatyczny *Kuryera warszawskiego*. — Wawrzyny i złote runo.

Wierzcie mi, że nie jestem „materyalistą" i czcicielem korzyści praktycznych, a nawet może noszę w sobie więcej poezyi, niż dwunożne jej naczynia, które ze swych ust i języków zrobiły kołatki obłudnego idealizmu, więcej, niż pozwala to marne, zwierzęce życie, które nam mózgi i serca wtłacza w żołądki. Pomimo to, gdy w lasku naszej prasy, porosłej mchami tradycyi, karłowatemi drzewkami mądrości u plebana pożyczonej, krzewami pustych nowin, brudnych skandalów, płaskich dowcipów oraz wybujałych ponad wszystko sprawozdań teatralnych, gdy wśród tego kruchego gąszczu spotkam jakąś płonkę myśli pożytecznej, uczuwam niewymowną przyjemność. Bo gdybyśmy przynajmniej marzyli o przedmiotach godnych duszy ludzkiej; gdybyśmy, zapomniawszy o rzeczywistości, bujali oskrzydloną wyobraźnią w krainie poezyi; gdybyśmy, wzgardziwszy mizernym padołem życia, zwracali się do mar piękna, do gwiazd dobra, do słońca prawdy, niewątpliwie wpadalibyśmy ciągle w niedostrzeżone pod nogami doły, ale przynajmniej moglibyśmy mieć prawo do nazwy szlachetnych fantastów. Ale o czem my zwykle rozmyślamy? O kaczkach politycznych dziennikarstwa zagranicznego, o romansie królewicza rumuńskiego z p. Vacarescu, o skąpstwie Grevégo, o złotej zastawie na dworze angielskim, o kłótniach Napoleona III z żoną, o najnowszem określeniu teściowej, o dalszych losach trup teatralnych na prowincyi, o wyścigach, spadochronach, zabawach cyklistów, wioślarzów, subjektów handlowych, lutnistów, dziadów itp. Gdy nam codziennie przez głowę, jak przez klepsydrę, przesypie się ta garść piasku, czujemy, że czas posunął się naprzód, ale że dla nas nie nie zostawił; doznajemy takiej czczości, pustki, nudy, jak gdybyśmy nie mieli przed sobą żadnych poważnych zadań. A tymczasem ono nam ciągle przesuwa nieskończony szereg trudnych zadań i ustawicznie domaga się od nas jakiegokolwiek ich rozwiązania. Wobec tych zadań wyglądamy jak małe lub leniwe dzieci, grające piłką lub zajęte puszczaniem latawców pod murami szkoły, w której pilne słuchają nauk.

I właśnie o szkołach chcę dziś pomówić. Już nietylko cudzoziemcy, dla których jesteśmy *survivalem* cywilizacyjnym, ale nawet rodacy nasi, którzy nieco dłużej przebywali śród społeczeństw obcych, wróciwszy do kraju, dziwią się i wyrzucają społeczeństwu upodobania próżniacze i wielkopańskie, umiłowanie błahostek i zawodów nędznych a lekkich, przy lekceważeniu cięższych, ale korzystnych. Znałem trzech takich ludzi, którzy mogli przeprowadzić porównanie nas z innymi narodami przy rozległym zasobie spostrzeżeń i mieli uzasadnione prawo do wykazania ujemnej na naszą niekorzyść różnicy. Mam na myśli S. Wiśniowskiego, S. Szczepanowskiego i B. Abakanowicza. O ile odzywali się w literaturze, usiłowali wlać w nas nowe tchnienie, rozbudzić te tętna, które gdzieindziej biją mocnemi drgnieniami krwi. Kiedy przed paru laty zapytałem bawiącego w Warszawie Abakanowicza, jak mu po wielkim świecie przedstawia się nasz mały, za całą odpowiedź tylko śmiał się, śmiał nieustannie.

— Ależ wy to panowie — rzekł wreszcie — w rękawiczkach i cylindrach a boso. Tak już nigdzie nie wyglądają ludy cywilizowane. Co was obchodzi? Ptaki peruwiańskie... ha, ha, ha, a nie znacie własnych kaczek. Ptaki peruwiańskie, którymi trzech ludzi zajmuje się w całej Francyi, wy wpychacie w głowy ogółu... Panie kochany, czy to nie zabawne?

Rzeczywiście, gdzie my nie wędrujemy myślą i skąd ona nie znosi na swych skrzydłach pyłu! Można wskazać obszerne pisma peryodyczne, które nie pominą najbzdurniejszej anegdoty paryskiej, które poświęcą dużo miejsca dziejom kryноliny lub stowarzyszeniu złodziejów londyńskich, a nie dotkną ani jednem słowem najważniejszych spraw społecznych. Mamy do tego odrazę. Swojskie kłopoty, przedsięwzięcia, zamiary, interesy wydają nam się czemś tak drobnem, że może je nam całkowicie przesłonić cienka Sara Bernard.

„Gdy prawo o szkołach fachowych zostało ogłoszone — powiada *Wiek* — w prasie peryodycznej pojawiły się liczne artykuły, stwierdzające potrzebę takich szkół, dowodzące konieczności ich istnienia, zachęcające publiczność, ażeby we własnym, dobrze zrozumianym interesie przyczyniła się moralnie i materyalnie do powstawania takich mianowicie zakładów naukowych. Dyskutowano szeroko i długo na ten temat w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, sporządzono projekt i przekazano go dla pogrzebania, chciałem powiedzieć dla opracowania, specyalnej komisyi. W Lublinie obywatele miejscy naradzali się nad tą sprawą w magistracie; w Piotrkowie dysputowano, że okolica potrzebuje techników, budowniczych; w Łodzi mówiono o potrzebie uzdolnionych tkaczy i chemików; inteligencya Płocka, Radomia, Kalisza, Łomży, Częstochowy i wogóle wszelkich większych miast kraju przyszła do wniosku, że tego rodzaju szkoły są niezmiernie pożądane i konieczne — i na tem się skończyło. Po dwóch latach istnienia prawa ani jedna szkoła tego typu nie powstała u nas i zapewne nie prędko powstanie. Tymczasem młodzież ze wszelkich sfer społecznych, uboższa i bogatsza, zdolna i niezdolna, nie mając wyboru, ciśnie się do gimnazyów i szkół realnych, a ciśnie się tak tłumnie, że zakłady te zaledwie połowę kandydatów przyjąć mogą. Ogromny procent tej młodzieży, która zdołała się do gimnazyów docisnąć, całkowitego kursu nie kończy, poprzestając na trzech, czterech, pięciu klasach i idzie w świat, szuka chleba, nie mając żadnych kwalifikacyj, żadne-

go przygotowania do zawodu praktycznego. Tworzą się z niej ludzie „do wszystkiego,“ a właściwie do niczego i na samym początku samodzielnego istnienia spotykają ich gorzkie rozczarowania i zawody.“

Ci „ludzie do wszystkiego“ — to przeważnie większość naszego społeczeństwa, które też tłoczy się do wszelakich biur, gdzie tylko nie potrzeba żadnych uzdolnień specyalnych. Kolej żelazna — to dziś ziemia obiecana dla tego niezliczonego zastępu. A tymczasem czegokolwiek dotkniesz, wszędzie spotkasz brak sił odpowiednio ukształconych. Zaiste, dziwny widok! Z jednej strony olbrzymia gromada ludzi bez pracy, z drugiej rozległe jej pola pozbawione rąk. Już nie sam rozum argumentami, ale doświadczenie rózgami przekonywa nas, że musimy przygotowywać się do zawodów produkcyjnych. Daremnie! Ojcowie i dzieci pod tą chłostą nie przestają marzyć o urzędach i wogóle „posadach,“ po za któremi nic nie widzą, ani szczęścia, ani dobrobytu, ani niezależności. Ten i ów woli pisywać „powiastki“ w sądzie lub być kancelistą za 20 rs. miesięcznie, niż zostać ogrodnikiem, mieć dostatni chleb, przyjemne i pożyteczne dla kraju zajęcie. Aby tylko schwytać jakikolwiek urzędzik, znaczek głowy końskiej na czapce tramwajowej.

Świeżo otwarta szkoła ogrodnicza w Częstochowie przyjmuje kandydatów z wykształceniem dwuklasowem, obiecuje ich nauczyć ogrodnictwa, pszczelnictwa i głównych wiadomości z nauk przyrodniczych. Jaki zapewni byt swoim wychowańcom? Mogą oni dostać od 100 do 200 rs. rocznie i ordynaryę lub całkowite utrzymanie; mogą dalej, mając gotowy zasiłek lub zaoszczędziwszy sobie niewielki kapitalik, wziąć w dzierżawę albo też nabyć kawałek ziemi, uprawiać na nim owoce i warzywa— z jakiem powodzeniem i rezultatem materyalnym, to już zależy od ich pracy, uzdolnień, obrotności, wreszcie od warunków. Nie każdy zapewne zostanie Hoserem lub Jankowskim, ale z pewnością niejeden wyrobi sobie trwałe i niezależne stanowisko, a wszyscy pomnożą bogactwo kraju. Ta nadzieja skusi chłopa, rzemieślnika, woźnego, czasem nawet wyżej od nich umysłowo stojącego ojca, który przez rozum lub konieczność wprowadzi syna na tę drogę. Ale jakimże bólem rozedrze serca zbankrutowanych ziemian, kancelaryjnych najmitów, pasorzytów bogatszych rodzin samą myśl o tem, że ich dostojne dziecko byłoby ogrodnikiem? Zgodziliby się dłań na los Jankowskiego lub Hosera, gdyby mu ktoś dał ich... zakłady i dochody, ale praca, kopanie dołów, oskrobywanie drzew, niszczenie owadów... brr! Czytaliśmy i czytamy dotąd z zajęciem w *Pomocy własnej* Smilesa o ludziach, którzy z najniższych szczebli wspięli się na najwyższe; opowiadamy sobie z podziwem o niejednym z naszych fabrykantów, że przywędrował z zagranicy jako prosty robotnik z tłomoczkiem na plecach; przykłady te jednak nas nie nęcą. Patrzymy na Franklinów jak na bobry, które zębami ścinają grube drzewa i budują sobie z nich pomysłowe tamy dla ochrony swych mieszkań, lecz nie myślimy ich naśladować. Nam pachnie urzędzik, zajęcia, w których jedynem powalanem rąk byłyby plamy atramentowe—chociażby otrzymane w przepisywaniu cedeł i asygnacyj. Śmieszne to i smutne. Dopóki zaś nie pozbędziemy się tej śmieszności i tego smutku, bezpłodne będą wszystkie nasze gadaniny o odrodzenie społeczeństwa.

Z różnych punktów wychodząc, spotykają się często na wspólnej drodze ludzie całkiem odmiennych kierunków myślenia. Widzimy nieraz radykałów, broniących bezpieczeństwa religii, lub też klerykałów, przemawiających za swobodą przekonań. Takiego połączenia sprzecznych żywiołów dokonała w całej Europie żywotna dotąd sprawa święcenia niedzieli. Pogoń za zyskiem, przemiana czasu na pieniądz, wyzyskiwanie sił najemnych do najdalszej granicy przy wielkiej ich podaży — wszystko to skłoniło przedsiębiorców kapitalizmu do uszczuplenia pracownikom godzin wypoczynku. Pozostawiono im tylko święta najbardziej uroczyste, których bądź prawa, bądź zwyczaje tknąć nie pozwalały, zabrawszy na swój użytek inne, a przedewszystkiem niedziele. To rozszerzenie czasu roboczego po za zwykłe granice odbyło się głównie w dziedzinie handlu. Ten i ów, pragnąc zwiększyć sobie odbyt sprzedaży w dniu, w którym sklepy są zamknięte, zaczął je otwierać w niedziele. Inni nie chcąc tym napędzać interesantów, a siebie pozbawiać możliwych korzyści, otworzyli również swoje sklepy — i tym sposobem ich oficyaliści wyzuci zostali z niedzielnego wypoczynku. Praca kupiecka nie jest ciężka, ale to także praca, która wymaga przerw. Otóż Towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy rozesłało w tej sprawie do swych patronów okólnik, w którym wylicza swoje krzywdy i prosi o usunięcie ich. Potrzebne jest — twierdzi ono — święcenie niedzieli, ażeby pracownicy nie zniechęcali się, ażeby wypoczynkiem pokrzepiali znużone siły, ażeby w ustawicznem jarzmie nie przytępiali swego sumienia, ażeby mogli zadość uczynić pragnieniom religijnym i obowiązkom rodzinnym.

Odważę się na optymistyczne przypuszczenie, że większość kupców chętnie świętowałaby w niedziele, gdyby im zapewniono, że temu zwyczajowi poddadzą się wszyscy. Właściwie zatem chodzi o pokonanie oporu garstki, która chce wyzyskiwać bezczynność współzawodników i zmniejszoną konkurencyę. Otóż co do tych jegomościów będę pesymistą i nie wierzę w ich dobrą wolę, dopóki na nią nie wywrze nacisku — prawo Żadne okólniki, prośby, artykuły dziennikarskie nic zdołają przeciwważyć interesu charakterów egoistycznych. Co łowców zysku niedzielnego obchodzi zdrowie pracowników, ich siły, rodzina itp? Ich obchodzi rubel — kiedykolwiek i jakkolwiek spadnie do szuflady. To przedmiot ich miłości, cudowny talizman, święty obrazek, kawałek szczęścia. Dopiero gdy wystąpi prawo i za jednego utargowanego w chwilach zakazanych rubla zagrozi karą kilku rubli, gdy ono dla nieposłusznych otworzy drzwi sądu — o wtedy obraz całkiem się zmieni. A prędzej czy później zmienić on się musi, bo tak, jak uregulowano i przeciw wyzyskowi ubezpieczono robotników fabrycznych, podobnie wzięta będzie w opiekę wszelka praca najmicka. Kapitalizmowi nie świeci dziś ani jeden promyk nadziei powrotu do dawnej swobody, a raczej samowoli. Jest to bestya, którą jeszcze może ludzi tratować, ale której czas nakłada coraz nowe kiełzna. Ustawodawstwo wszystkich krajów, chociaż nieraz powolnymi krokami, ciągle jednak postępuje po tej drodze. Życzymy naszym subjektom handlowo - przemysłowym pomyślnego skutku ich prośby, nadewszystko zaś życzymy im i ich następcom, ażeby w prawie zyskali pewniejszą i trwalszą tarczę przeciw nadużyciom, niż krucha i giętka łaska „Wielmożnych Panów.“

Kuryer warszawski, chcąc upamiętnić odnowienie i otwarcie Wielkiego teatru, a zarazem zbogacić repertoar sceny warszawskiej nowemi sztukami oryginalnemi, ogłosił konkurs dla dramatów i komedyj współczesnych z nagrodami 1000 i 500 rs., z terminem 25 czerwca 1892 r. Nie ustąpiło więc z naszego społeczeństwa, a przynajmniej z prasy przekonanie, że konkursy wywołują talenty i zbogacają literaturę. Częściej zawodzoną, niż stwierdzaną tę wiarę pozostawmy jej wyznawcom. W naszych stosunkach są oni rzeczywiście o jeden argument zbrojniejsi, mianowicie praca autorów scenicznych jest wynagradzana tak miernie (50 rs. za akt), że swoją stroną materyalną, z którą ludzie liczyć się muszą, nie pociąga. Otrzymać 100—200 rs. za kilka miesięcy trudów, to wystarcza woźnemu teatralnemu. 1,000 lub 500 rs. nagrody nadaje istotnie tej pracy pewną pobudkę. To też mniemamy, że ilościowy zbiór konkursu *Kuryera* będzie bardzo obfity. Znaczna część armii dramatopisarskiej, która już dziś, zwłaszcza dzięki teatrzykom ogródkowym, jest dosyć liczna, uruchomi się na tę kampanię dla zdobycia wawrzynów i złotego runa. Bądź co bądź, redakcyi, która zaofiarowała znaczną sumę pieniędzy dla zasilenia repertuaru sceny naszej, należy się słuszna pochwała.

Poseł Prawdy.

ZDALA.

Kasy pocztowo-telegraficzne w Rosyi. — Żale i żądania kapitału. — Dwa nowe rynki (Turcya i Serbia). — Regulacya rzek. — Walka z głodem.

Przyjrzyjmy się wynikom kas pocztowo-telegraficznych, które się poczęły w Rosyi 1889 r. W początkach powstało ich już 167, w 1890 urosły do liczby 1,137, a w pierwszem półroczu 1891 przybyło do nich jeszcze 50. Do 13 lipca 1891 zatem wynoszą 1,187. Suma wkładów wniesionych do tej nowej instytucyi od dnia 13 stycznia do 13 lipca r. b. podskoczyła z 2,302,802 do 5,884,367, czyli przeszło półtrzecia razy. Przeciętna wysokość wkładu na jedną książeczkę 13 lipca wynosiła 79 rs., gdy tymczasem na początku roku dosięgała zaledwie 49. Ten fakt dowodzi, że kasy rzeczone zyskują grunt śród ludności, która dotychczas swoją „ciułaninę“ chowała w garnki lub cholewy... Równocześnie z kasami pocztowo-telegraficznemi zapewniały udział w zyskach kapitałów wielkich groszowi drobnemu — kasy Banku państwa. Skarbonek tych było czynnych 681. Suma wkładów r. b. dosięgła 60,390,330 rs. i przewyższyła ilość pieniędzy w tymże czasie pobranych (36,099,474 rs.) o 24,290,845. Ogólna suma wkładów przeto w tym roku wzrastała przeciętnie o 4,648,474 rs. miesięcznie, gdy w latach poprzednich o niewiele przesięgał skalę 2 milionów. W 1890 przewyżka ta równała się 24,334,544 rs.; w latach zaś: 1886, 1887, 1888 i 1889, właśnie wówczas, kiedy operacya kas była u zenitu (?), ogólna suma wkładów wzrastała względnie o 17,302,130 rs., 24,849,914, 24,219,176 i 25,121,088 rs. razem z odsetkami. W zeszłem zaś półroczu 1891 wkłady wraz z doliczonymi w kwietniu procentami za 1890, urosły o 28,714,733, czyli o więcej, niż w którymkolwiek z lat uprzednich w ciągu całego roku. Ogólna natomiast suma umieszczanych w kasach miejskich oszczędności dosięgła w dniu 13 lipca r. b. 171½ miliona rubli. Zwolennicy rodowodu „zasobników“ drogą „powściągliwości od spożycia“ winni zawczasu ręce zacierać z radości.

Smutno jest za to w wielkiej wymianie i przemyśle. Obraz jednej i drugiej najlepiej maluje następujący wyjątek z prośby kupiectwa niższo-nowogrodzkiego, podanej ministrowi skarbu. „Rezultaty obrotów tegorocznego jarmarku niższo-nowogrodzkiego w dziale towarów bawełnianych łatwo przewidzieć się dają. Na pewno powiedzieć można, że niepomyślne rozwiązanie, dziś już oczywiste, pociągnie za sobą niezawodnie ograniczenie robót w ciągu zimy i lata przyszłego. Tym sposobem przedsiębiorstwa przemysłowe zmuszone będą pozostawić bez zarobku dziesiątki tysięcy robotników. Bieda, która ogarnęła większą część urodzajnych gubernij Rosyi, rozszerzy się także na gubernie przemysłowe. Zdolność kupna na rynkach wewnętrznych zmniejszyła się znacznie skutkiem nieurodzaju. Jedynym środkiem utrzymania działalności ruskiego przemysłu tkackiego,

choćby w przybliżeniu tylko w takich wymiarach, w jakich rozwijała się ona dotychczas i danie możności wyżywienia się rodzinom robotniczym, może być tylko otwarcie rynków zagranicznych. Wszystkim wiadomo, jak ciężkich ofiar ze strony przemysłu przędzalniano-tkackiego Rosyi wymagało rozszerzenie istniejących i zdobycie nowych rynków zewnętrznych. W ciągu ostatnich lat dziesięciu były wyprawiane ekspedycye do Bułgaryi dla zbadania warunków rynku tamecznego, wysyłano karawany do wnętrza Chin, otwierano składy w Teheranie, sprzedawane towary kupcom perskim na kredyt. Straty poniesione na tych próbach dosięgły bardzo poważnych sum." A jakież rezultaty osiągnęło kupiectwo ruskie kosztem wszystkich tych ofiar?

Na tę kwestyę samo też ono odpowiada nowym szeregiem skarg, że nie zdołało sobie pozyskać nowych rynków; że dawniej podbite zagarnia powoli przemysł zagraniczny; że na rynku perskim wyroby ruskie z każdym rokiem coraz bardziej cofają się przed zagranicznymi — i zanosi prośbę pokorną o zwrot cła od bawełny w towarach wywożonych. Jeżeli to premium wywozowe udzielone zostanie jeszcze w roku bieżącym, to nietylko przemysł zyska pożądany środek rozwoju, lecz i tysiące rodzin robotniczych unikną ciężkich następstw bezrobocia. Tak skargi kupców-bawełników, jak i sama ich prośba z pewnością zostaną wysłuchane.

Nim pers zacznie używać z korzyścią dla siebie tkaniny ruskiej, turek zapozna się z węglem donieckim. Ci bowiem przedsiębiorcy budowy okrętów, którzy podejmą się wywozu tego paliwa do Turcyi— otrzymają znaczne ulgi. Nadto, ministeryum skarbu, ulegając życzeniom właścicieli kopalń węgla, ma w zamiarze cały szereg środków, które pobudzą wywóz tego towaru do Konstantynopola, gdzie jedyną dostawczynią jego jest dotąd Anglia, zaopatrująca stolicę sułtańską w 1½ miliona tonn węgla rocznie. Rynek ów już był badany przez specyalistę, wysłanego przez akcyonaryuszów towarzystwa górniczego Rosyi południowej.

Ale nietylko Persya i Turcya są przedmiotem westchnień kapitału ruskiego, nawet lilipucia Serbia, mająca do rozporządzenia dwa marne miliony spożywców i 50,000 kw. kilometrów przestrzeni, na te „ciężkie czasy" budzić zaczyna, zamiast wzgardy, ściągniętej rządami Milana, uczucie szacunku. Przedmiotowej podstawy do tej zmiany usposobienia dostarcza statystyka porównawcza wwozu zagranicznego na rynek serbski. Okazuje się tedy, że od 1884—88 kapitał zachodnio-europejski z tego kraiku miał zysków 85 milionów rubli, gdy ruski — zaledwie 17! Gdy w r. 1888 Rosya wwiozła tam swoich towarów mniej, niż na pół miliona rubli, to nawet Ameryka „importowała" ich prawie na pół miliona, Niemcy przeszło pół miliona, Turcya prawie ¾ miliona, Anglia 1½, Austrya zaś — aż 9 milionów! A jednak Serbia spożywa właśnie takie wytwory, którymi przemysł ruski z przyjemnością mógłby się z nią podzielić. „Nie mówiąc już o wyrobach z drzewa, rymarskich, metalicznych i szklanych, maszynach, papierze itp.— powiada *Swiet* — Rosya mogłaby wwozić do Serbii: smołę, wszelkiego rodzaju oleje na sumę przeszło 800,000 rs., chemiczno-farbiarskie wyroby na półtora miliona, przędzę na jakie 1¼ miliona rubli, towary kolonialne też na półtora i, co ważniejsza — wyroby tkackie na 3 miliony." A tymczasem tak ponętne pole orze obcy kapitał. I nie dość, że orze, ale robi to pod osłoną traktatów handlowych, które niebaczna i wyrodna córa rodziny słowiańskiej pozawierała z ościennemi państwami. Dlatego też możliwym był dotąd na ziemi serbskiej wyzysk obcoplemiennego kapitału, zwany inaczej „jarzmem niemiecko-austryackiem," stąd on tylko z powodzeniem budował na niej drogi żelazne i zatapiał ją swoimi towarami. Ruski przemysłowiec, nie poparty umową międzynarodową, przeciskać się musiał przez ciasną rogatkę ceł wyższych, tracił dużo pierza — i zniechęcał się. Tak np. z tkanin bawełnianych fabryk niemiecko-austryackich komory serbskie pobierają tylko *rubla* od puda, gdy przeciwnie od ruskich pobierane jest cło w wysokości 6 rs. od puda, czyli sześć razy tyle! Prawdopodobnie ten stan rzeczy zmieni się dla Rosyi na lepsze, bo Serbia chce zostać „stryjkiem" przysłowiowym i położyć kres wyłączności niemieckiej — traktatem handlowym z Rosyą. Dla opracowania tej umowy podobno powstanie wkrótce specyalna komisya, złożona z przedstawicieli ministeryów: spraw zagranicznych i skarbu, ambasadora ruskiego i przedstawicieli rządu serbskiego. Równocześnie z tym kraktatem ma być zawarta z Serbią również konwencya konsularna, na wzór tych, które ten kraj łączą z innemi państwami. W Belgradzie więc osiędzie generalny konsulat ruski, w Niszu — wice konsulat. Zanim traktat przemysłowi i wymianie ruskiej otworzy na oścież granice Serbii, kupiectwo ruskie zapoznaje jej spożywców z towarami swojej ojczyzny. W tym celu ktoś już otworzył, czy otworzy dopiero — stałą wystawę okazów produkcyi ruskiej w Belgradzie oraz innych miastach Serbii.

Inną, niezaspokojoną jeszcze potrzebą organizmu gospodarczego Rosyi — jest regulacya rzek. Deszcze i roztopy wiosenne, opłukując je bez przeszkody, nanoszą mułu w łożyska rzek i tworzą mielizny, które zmniejszają spławność. „Matka" — Wołga np. dąży bardzo szybko do zupełnego zamulenia. To samo dzieje się z innemi rzekami. Poziom ich wody zniża się obecnie do takiego stopnia w czerwcu, jakiego dosięgał dawniej dopiero w sierpniu. Tymczasem wiadomem jest z danych urzędowych, że tylko głównemi rzekami Rosyi europejskiej przewozi się przeszło miliard pudów towarów rocznie. Kolejami żelaznemi zaś przeszło 3 miliardy pudów — jedna więc trzecia ich przewozu przypada na drogi wodne. Wobec tego faktu wszelkie zakłócenie w ich zdolności przewozowej — jest klęską handlu, regulacya zaś rzeczna— potrzebą wielkiej doniosłości. Ministeryum komunikacyi usiłuje temu zapobiedz, ale czyni tyle, ile może — ile olbrzymie obszary państwa mu na to pozwalają, i środki szczupłe. To też usunięto tu i owdzie z koryt rzecznych krzaki, kamienie; gdzieniegdzie pogłębiono łożysko, wzmocniono brzegi — albo znów prowadzono roboty dorywczo i bez planu. W Anglii, Francyi, Belgii, Niemczech i Austryi w drugiej połowie bieżącego stulecia regulacya rzek pochłonęła *półtrzecia* miliona rubli i wymaga 16 milionów rocznie na ich utrzymanie w porządku, a mimo to do ideału doskonałości jeszcze daleko i straszliwe powodzie nie przestały być rzadkością. Regulacya jednej wiorsty rzek kosztowała w tych państwach przeciętnie 32,000 rubli, ogólna zaś długość dróg wodnych w tych pięciu krajach wynosi 41,640 wiorst. W Rosyi jedna Wołga dźwiga na swych falach statki parowe na przestrzeni 6,000 wiorst, a długość wszystkich dróg wodnych, zostających pod zarządem ministra komunikacyi — sięga 60,000 w. W dziesięcioleciu od 1875—1885 ministeryum rozporządzało funduszem regulacyjnym nie więcej nad 1,500,000 rubli rocznie. Dopiero w ostatnich latach budżet na ulepszenie dróg wodnych został podniesiony do 4,600,000 rocznie, prócz 4 milionów przeznaczanych corok na remont rzek. Świadczy to niezawodnie, że na potrzebę zwrócono baczniejszą uwagę, ale ograniczoność środków co pocznie wobec olbrzymiej długości rzek w państwie? Jest zamiar zwiększenia funduszu regulacyjnego podatkiem nakładanym na tych, którzy ponoszą straty ze złego stanu rzek. Spodziewane są z tego źródła olbrzymie środki.

Ziemstwa wytężają się w walce z nieurodzajem. Niżegrodzkie zgromadziło 900,000 pudów żyta, a brak wogóle 1,335,000. Zapasem tym obsianych będzie 87% pól. W kazańskiej gub. niezbędnie potrzeba 1,000,000 pudów do siewu — zebrano dotąd 800,000. Wobec tych wysiłków urągliwie i przytłaczająco brzmi urzędownie stwierdzona liczba: 300 milionów pudów ziarna brakującego. Komitety „Czerwonego krzyża" także niosą pomoc ofiarom nieurodzaju, Najśw. Synod zorganizował ratunek w swoim obrębie i nakazał modły dla odwrócenia głodu.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Wskutek zawarcia pomiędzy Rosyą a niektóremi państwami konwencyi co do spadków, ministerya spraw wewnętrznych i sprawiedliwości poleciły swoim organom, aby w razie śmierci poddanego zagranicznego zawiadamiały o tem konsula właściwego i doręczały mu cały majątek, dokumenty, kapitały i papiery wraz z testamentem.

— Ministeryum sprawiedliwości ukończyło już pracę nad projektem nowego prawa spadkowego. Oprócz pewnego zrównania praw mężczyzn i kobiet, usunięto odrębność w zakresie prawa o spadkach, istniejącą w Królestwie Polskiem, guberniach zachodnich, małoruskich i kraju Zakaukazkim. Projekt wejdzie w wykonanie w roku przyszłym.

— W celu zapobieżenia, iżby żebracy, niestali mieszkańcy Warszawy, ponownie nie wracali z miejsc zamieszkania, wzbroniono wydawania im paszportów. Nadto będzie rozciągnięty nad nimi ścisły nadzór policyjny.

— Ludność, dotknięta klęską nieurodzaju, gradobicia lub pożaru, udająca się na zarobki, będzie otrzymywała bezpłatne paszporty, wydawane przez ziemstwa gubernialne bez specyalnego pozwolenia, z obowiązkiem zawiadomienia tylko właściwych władz o liczbie wydanych dokumentów.

— W opracowanym projekcie nowej ustawy emerytalnej dla urzędników pełniących służbę rządową, uznano za konieczne poczynić zmiany następujące: Emerytury powinny być wydawane w przyszłości nie po 35 lecz po 40 latach służby i to jedynie w razie gdy emeryt liczyć będzie lat 60. Udzielanie połowicznych emerytur za 25 lat służby nie będzie w przyszłości wcale praktykowane, natomiast z chwilą przesłużenia 10 lat każdy urzędnik przy przejściu w stan spoczynku dla nadwątlonego zdrowia będzie miał prawo otrzymania emerytury w stosunku do lat wysłużonych. Wysokość emerytury ma być wogóle większa niż dotąd w przybliżeniu ¾ pensyi.

— Niezależnie od sporządzenia spisów fabryk i warsztatów przed wprowadzeniem nowej ustawy o najmie robotników, będzie dokonywana rewizya warsztatów rzemieślniczych, które dotychczas nadzorowi inspekcyi nie podlegały. Zbadane będą przytem następujące warunki: 1) o ile pomieszczenie warsztatu odpowiada potrzebom zdrowotnym pracowników; 2) czy istnieje właściwa wentylacya; 3) czy w pracowniach, gdzie się odbywa przeróbka metalów i używane są różne chemikalia trujące, przedsięwzięto należyte środki zabezpieczające; 4) czy czeladnicy otrzymują umówione wynagrodzenie; 5) jak się odbywa praktyka terminatorów; 6) czy ci ostatni mają odpowiednie pomieszczenie, żywność i opiekę moralną; 7) czy uczęszczają do szkół rzemieślniczo-niedzielnych; 8) czy nie są używani do robót, niemających nic wspólnego z rzemiosłem; 9) czy wogóle nie są przeciążeni pracą. W myśl nadzoru nad majstrami, wszelkie wykroczenia ich w stosunku do terminatorów, oprócz odpowiedzialności prawnej, pociągną za sobą zabronienie przyjmowania uczniów na praktykę, na pewien określony czas, lub raz na zawsze.

— W Poznaniu magistrat rozbierał w tych dniach sprawę wzrastającej nędzy, skutkiem drożyzny artykułów spożywczych. Uznano, że głód nastąpić musi, w razie dalszego podnoszenia się cen żywności i nadejścia niepogody.

— W Poznaniu przed sądem przysięgłych rozpoczęła się rozprawa o obrazę honoru, wytoczona przez wiedeńskie stowarzyszenie „Przytulisko" redaktorowi

miejscowego pisma *Robotnik*, zecerowi Ant. Mańkowskiemu (*Kur. wars.*).

— Na wyspie Jersey urządzono pierwszą kolonię żydowską Hirscha pod nazwą Woodbine. Głównym zarobkiem będzie hodowla jarzyn i owoców.

Szkoły. Ministeryum oświaty zbiera materyały potrzebne dla zaprowadzenia w szkołach elementarnych nauki ogrodownictwa, warzywnictwa i ulepszonego rolnictwa.

— Z rozporządzenia władzy naukowej, zamknięto szkołę dwuklasową męzką, utrzymywaną w Warszawie przez L. J. Dureckiego.

— P. Janina Matylska otworzyła szkółkę froeblowską w Warszawie przy ul. Żelaznej.

— W szkole sztygarów w Dąbrowie-Górniczej otwarto trzeci kurs specyalny dla uczniów, którzy wstąpili do zakładu z chwilą jego otwarcia, tj. w r. 1889.

— Minister oświaty przybędzie do Warszawy 1-go października i zabawi tu dni 7. W czasie swego pobytu zwiedzi uniwersytet, instytut weterynaryjny, głuchoniemych i ociemniałych, 7 gimnazyów i 2 progimnazya męzkie, szkołę realną, gimnazya i progimnazya żeńskie, 3—4-klasowe szkoły miejskie, 2 szkoły rzemieślniczą i rysunkową. Następnie w ciągu miesiąca zwiedzi wszystkie zakłady naukowe w całem Królestwie.

— Z powodu zbyt wielkiego kosztorysu, projekt wyższej szkoły ogrodniczej przy warszawskim ogrodzie pomologicznym został na teraz zaniechany. Natomiast zamierzono otworzyć przy wydziale fizyczno-matematycznym uniwersytetu sekcyi przyrodniczej, katedry teoryi ogrodnictwa, z dopuszczeniem osób postronnych na prawach wolnych słuchaczów do słuchania wykładów, tudzież zajęć praktycznych w ogrodzie pomologicznym.

— Przedsiębiorca Lud. Peszke i pedagog Jan Strumiński zrobili podanie o koncesyę na niższą szkołę rolniczą, która ma powstać w okolicy Czerska.

— Wyższe sfery administracyjne przystąpią do zrewidowania istniejącego obecnie wykazu zakładów naukowych, z podziałem ich na kategorye pod względem spełniania powinności wojskowej. Celem tego ma być powiększenie terminu rzeczywistej służby wojskowej dla osób, które otrzymały wyższe i średnie wykształcenie. Jednocześnie będzie rozstrzygnięta sprawa zniesienia na przyszłość ulg obecnie przysługujących z wstąpieniem do niektórych szkół, bez względu na zupełne ich ukończenie lub w części. (*Nowości*).

Przemysł i handel. W zeszłym tygodniu w Warszawie zauważono na targu Grzybowskim raptowne i nienaturalne podrożenie kartofli; cena korca podnosiła się z 1 rs. 80 kop. do 3 rs., pomimo obfitego dowozu. Po zbadaniu przyczyny okazało się, iż garstka przekupniów udawszy się za rogatki o parę wiorst za miasto, wykupiła od wytwórców kartofle i dowolnie nałożyła ceny. Pociągnięto ich do odpowiedzialności sądowej.

— Przy ministeryum dóbr państwa utworzono oddział drobnego przemysłu wiejskiego.

— Przedstawiciele przemysłu górniczego z okręgów Królestwa Polskiego, oraz grup: donieckiej i uralskiej postanowili, jak donoszą *Peterb. Wied.*, doprowadzić do skutku dawny zamiar utworzenia specyalnego banku górniczego, z udziałem kilku miejscowych kapitalistów. Kapitał zakładowy sześć milionów ma być zebrany przez wypuszczenie akcyj po 250 rs. W razie rozszerzenia obrotów, kapitał zakładowy może być zdwojony.

Wystawy. Podczas zimy w lokalu Towarzystwa ogrodniczego urządzona będzie pierwsza u nas wystawa przetworów ogrodniczych.

— Otwarcie wystawy hygienicznej w Petersburgu odłożono do wiosny r. 1893. Program i przepisy już opracowano.

Sprawy kolejowe. Oświetlenie elektryczne ma być wkrótce zaprowadzone we wszystkich wagonach korytarzowych na kolei Wiedeńskiej.

— Jeden z przedsiębiorców ma urządzić na własne ryzyko wagony restauracyjne, które kursowałyby przy pociągach kuryerskich między Warszawą a Wiedniem oraz Berlinem. Zarządy kolejowe podobno propozycyę przyjęły.

— Na wniosek departamentu kolejowego [illegible] zjazd taryfowy zajmie się opracowaniem jednolitej dla wszystkich dróg formy taryf ulgowych i określających je przepisów, tudzież świadectw, wydawanych przez zakłady naukowe, na zasadzie których taryfy te są stosowane. Nadto jest projekt wyznaczenia stałych okresów, odpowiadających feryom szkolnym, w których jedynie ulgi będą miały moc obowiązujących.

Wypadki. Hiszpanię dotknęła straszna klęska powodzi. W Consuegra wydobyto z wody 2,000 topielców. Wszystkie wielkie rzeki zalały całe prowincye. Ministeryum upoważniło wszystkie ambasady hiszpańskie do zbierania składek na powodzian. W Madrycie redaktorowie pism i studenci uniwersytetu zbierają zapomogi na ulicach. Składki płyną obficie; nie pokryją one wszakże milionowych strat i nie zapobiegną w zupełności nędzy, która cały kraj ogarnia.

— W Borysławiu zaszły w ostatnich czasach dwa wypadki wybuchu gazów w szybach kopalni wosku ziemnego. Kilku ludzi otrzymało pokaleczenia.

Zmarli. Aleksander Szumowski, uczony pedagog i literat.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Studentce w W. Bliższych szczegółów co do uczęszczania na kursa filozoficzne w Krakowie udzielić Pani może pani R., Marszałkowska 94, m. 23.

Sprostowanie. W n-rze 38, *Prawdy*, w artykule: „Na widnokręgu" wkradły się omyłki, z których ważniejsze prostujemy. Na str. 454, szp. 3, wiersz 20: zamiast „trzęsionka" winno być: trzęslanka; na stronicy następnej, szp. drugiej w. 4 zamiast „filgranowym" — figlarnym; w. 22 po wyrazach: „obroty ślesiniaka" — przecinek; w. 24 zamiast: „uwolnienie" — uzdolnienie; w 27 zamiast: „obrańskiem" — obraźnikiem; w. 36 zamiast: „I znajduje się" — I znajduję się; w. 69 zamiast: „w sprawie" — w śpiewie; w. 75 zamiast „którem" — którym; szp. pierwsza, w. 71: zamiast „zamenlają" — zamienią.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dodatek kwartalny, zeszyt IV Rozwoju moralności.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 13 Сентября 1891 г. Redaktor i Wydawca Al. A. Świętochowski.